

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 112

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 16 listopada 1861 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

TREŚĆ NUMERU.

Jędrzej Śniadecki (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Wycieczka do Gdańska przez Deotymę (z czterema drzeworytami) ciąg dalszy. — Źródła niektórych przesądów dotąd u nas istniejących. — Nieczyn (z drzeworytu). — Szachy i rebus.

Jędrzej Śniadecki.

Jędrzej Śniadecki, uczony chemik, biegły lekarz, wzo-
rowy pisarz i filozof polski, a na-
dewszystko zacny człowiek, był ro-
dzonym, a dwanaście lat młodszym,
bratem Jana, którego życiorys po-
daliśmy w Nrach 93 i 95 naszego
pisma. Równie jak tamten urodzo-
ny w wielkopolskiem miaste-
czku Żninie, dnia 30 listopada r.
1768, początkowe nauki pobierał
w Trzemesznie pod kierunkiem
światłego ojca, po którego śmierci
przeszedł pod opiekę i przewo-
dnictwo brata Jana, już wtedy pro-
fessora akademii krakowskiej, i u-
częszczał do gimnazjum nowo-
dworskiego w Krakowie. Gimna-
zjum to, świeżo poprawione przez
Kollataja, uczyło według nowszych,
trafniejszych pojęć; ztąd Jędrzej
Śniadecki czerpał zasady nauk
z czystego źródła; szczęśliwszy
w tém od Jana, nie zaznał już ani
panegiryków, ani dysput schola-
stycznych, a przy wrodzonej zdol-
ności i pomocy uczonego brata,
rozwijał się prędko i swobodnie.
Starszy Śniadecki, jak wszyscy lu-
dzie co z zapałem oddają się pe-
wnej nauce, skłaniał młodszego
brata do ulubionej sobie matema-
tyki, przeznaczając mu powołanie
inżyniera. Zdolny młodzieniec nie
był temu przeciwny, bo wszystkie
nauki przychodziły mu z równą
łatwością. Ten wybór wsparła je-
szcze następna przypadkowa oko-
liczność. W czasie egzaminów
w szkole nowodworskiej, Śnia-
decki, już uczeń klasy piątej, da-
wał ze wszystkich przedmiotów,
a osobliwie z geometrii, tak przy-
tomne i dokładne odpowiedzi, że
obecny temu starszy inżynier pru-
ski z twierdzy szląskiej Brzegu,
powziął wysokie wyobrażenie o
zdolnościach młodzieńca i usilnie
zachęcał go, aby wszedł do pruskie-
go korpusu inżynierów, wróżąc mu
świetną przyszłość w służbie swego
rządu. Obadwaj Śniadecy zgadzali

się na wskazany zawód, z tą tylko różnicą, aby się do nie-
go sposobić w szkole francuzkiej. Tymczasem Jan, udając
się w celach naukowych za granicę, miał obrać tam szko-
łę, Jędrzej zaś kończył klasę szóstą w Krakowie,
w której tak się odznaczył, że władza szkolna ze szcze-
gólnymi pochwałami zaleciła go Stanisławowi Augu-
stowi, w r. 1787 zwidzającemu gimnazjum. Król,

zawsze uprzejmy i osobliwy miłośnik nauk, upodobał
sobie pięknego i zdolnego młodzieńca; dlatego, oddaw-
szy mu własnoręcznie przyznany za nagrodę medal
złoty, aby go tém więcej zaszczycić, wręczył mu pu-
szkę z orderem św. Stanisława, i polecił jego znaki
włożyć na rektora akademii, Oraczewskiego.

Starszy Śniadecki pod ten czas bawił w Anglii,
i o zaszczycie jaki spotkał brata
dowiedział się z listu kolegi swe-
go Radwańskiego. Wracając do
kraju przez Paryż, upatrzył tam
miejsce w którym Jędrzej miał po-
bierać wyższe nauki matematyczne
i usposobić się na inżyniera. Ale
jakież było jego zadziwienie, gdy
przybywszy do domu, zastał mnie-
manego inżyniera nad kościotru-
pem, zgłębiającego budowę czło-
wieka. Przyjaciele Śniadeckich tra-
fniej obrali dla młodzieńca powoła-
nie lekarskie, a doktor Szaster
swoim wybornym wykładem ana-
tomii dokonał reszty. Brat-opiekun,
widząc że zapał do nowego za-
wodu był szczery i mocny w Ję-
drzeju, nie tylko żadnych nie sta-
wiał przeszkód, ale owszem uła-
twiał mu nabycie gruntownej zna-
jomości fizyki, a po skończeniu
trzyletniego kursu w akademii kra-
kowskiej, nie szczędził nakładu na
utrzymanie go w uniwersytetach
zagranicznych.

Przez Wiedeń, gdzie obejrzał
zakłady naukowe, udał się Jędrzej
Śniadecki najprzód do uniwersyte-
tu w Pawii, w którym wtedy sły-
nęli znani w całej Europie profes-
sorowie: Galvani, Wolta, Spalan-
zani, Moscati i Jan Piotr Frank.
Pilnie słuchając ich wykładów, ro-
biąc z nimi doświadczenia i wie-
le czytając w główniejszych je-
zykach europejskich, które dokła-
dnie posiadał, w ciągu dwuletnie-
go pobytu w Pawii zrobił wielki
postęp w fizyce, medycynie i filo-
zofii. Ile go cenili jego mistrzowie,
świadczą list Franka pisany w tym
czasie do Jana Śniadecznego, tu-
dzież przyznany naszemu medyko-
wi stopień doktora medycyny i filo-
zofii.

Kursów chemii, chirurgii i histo-
ryi naturalnej zamierzył Śniadecki
słuchać w Paryżu; ale nie mogąc
tam się dostać, z powodu ówcz-



JĘDRZEJ ŚNIADECKI. (Rysował Polkowski, ze sztychu wydania Wilezyńskiego).

snych zaburzeń we Francji, puścił się do Anglii ładem przez Niemcy. W Londynie przyjaciele brata ułatwili Jędrzejowi poznanie zakładów naukowych i pamiątek historycznych, poczem na dłuższy czas osiadł w Edynburgu, w celu uzupełnienia swych wiadomości medycznych w tej sławnej wtedy na całą Europę szkole. Osobliwie pragnął tam poznać teorię Browna o życiu. Jeszcze w Pawii uderzyła go nowość pomysłów szkockiego medyka, i swoim dlań uwielbieniem tyle sprawił, że profesor Moskatli wprowadził nową teorię do swego kursu i napisał o niej książkę. W Edynburgu, lepiej zgłębiwszy zasady Browna, Śniadecki poznał ich niedostateczność i uczuł potrzebę położenia gruntowniejszych podstaw dla fizjologii. W tym celu już wtedy nakreślił pierwsze pomysły, z których z czasem wysnuł genialne swoje dzieło: Teoria jestestw organicznych. Uzupełniając swoje wiadomości lekarskie usilną pracą, badaniami, rozprawami ze sławnymi uczonymi szkockimi, jak: Gregory, Duncan i Monroe, zadziwiał ich swoją rozległą a gruntowną nauką, głębokimi myślami i wielką łatwością z jaką tłumaczył się w kilku językach, a między niemi i w angielskim. Uczeń Szkoci, dając Śniadeckiemu dowody szczerzej przyjaźni, namawiali go usilnie aby został w Anglii i jako lekarz wszedł w służbę kompanii indyjskiej, przyrzekając mu że prędko nabędzie sławy i majątku. Ale młody lekarz tęsknił do kraju i brata, którego poważał i kochał, i nie przyjął świetnych zapewnień. Brat tymczasem troszczył się o wynalezienie dla niego w kraju posady odpowiedniej jego uzdolnieniu. Właśnie nadworny lekarz królewski Bekler, dla podeszłego wieku, zamierzał opuścić swoje obowiązki. Jan Śniadecki starał się wyjednać to zaszczytne i korzystne miejsce dla swego brata. Król skłaniał się do tego chętnie, ale prymas, urażony na Jana Śniadeckiego za to, że broniąc akademii, występował przeciwko niemu, oparł się tej nominacji, a wkrótce wypadki zniweczyły nadzieję wejścia do jakiegobądź zawodu publicznego. Wtedy przyjaciele szkoccy ponowili swoje namowy; ale Śniadecki, jakby przeczuwał swoje ważniejsze przeznaczenie, odmówił powtórnie, przeniósł się do Wiednia i przez rok cały postrzeżeniami i praktyką w szpitalach wzbogacał wiadomości nabyte w kilku uniwersytetach. Tu go doszło zaszczytne wezwanie na profesora do tylko co wznowionej przez Poczobutta akademii wileńskiej; przyjął je z radością i przeniósłszy się do Wilna, rozpoczął w roku 1797 wykład chemii i farmacji.

„Niewielkiego wzrostu i średniej tuszy w późniejszym wieku, tyle jednak rzadkim wyrazem swojej fizjonomii, zacnością i pogodą pięknej twarzy, na której jaśniał geniusz i szlachetność duszy, zwracał na siebie uwagę,“ tyle świetną wymową i głęboką nauką pociągał słuchaczy, złożonych nietylko z młodzieżą akademicką, lecz i ze wszystkich klas społeczeństwa, że cały kraj zajmował się tą lekcją i młodym jej professorem. Przytém biegłość w praktyce lekarskiej i uprzejmość towarzyska dopełniła sławy i fortuny Śniadeckiego, a wydawane liczne pisma rozniosły ją u swoich i u cudzoziemców.

Wziętość i powodzenie jeszcze bardziej podniecały w Śniadeckim zamiłowanie do pracy umysłowej, do badania i doświadczeń. Ciągłe śledził za postępem jaki nauka czyniła za granicą i sam wzbogacał ją coraz nowymi spostrzeżeniami, które ogłaszał w pismach swoich. Pierwszym z nich była rozprawa *O niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych*, w której wykazał że dostateczne w umiejętnościach fizycznych nie jest dostateczną podstawą, bo często błąd i przesąd poczytywano za doświadczenie, że w tym czysty rozum najpewniejszym jest przewodnikiem, zasada na której potem głównie oparł swoje wywody w teorii jestestw organicznych. Wkrótce po tej rozprawie wypracował pierwsze u nas dzieło o chemii, pod tytułem *Początki chemii*, wydane w Wilnie 1800 r. w 2 tomach; potem w lat siedm wyszło ono w powtórnym poprawnym wydaniu i długo było wybora i jedyną książką podręczną dla młodzieży, a pod względem języka na zawsze zostanie pomnikiem w historii chemii. Widząc że kilkoletnie ożywione działanie szkoły głównej wileńskiej podniosło w publiczności zapal do poważniejszego czytania, aby go podtrzymać i należycie poprowadzić, Śniadecki w r. 1805, razem ze sławnym botanikiem ks. Jundziłłem i uczonym filologiem Grodkiem, zaczął wydawać periodyczne pismo naukowe *Dziennik Wileński*. Przystępnie pisane artykuły oswajały powszechność z najważniejszymi zagadnieniami nauki, które zajmowały wtenczas Europę. Śniadecki sam pisał wiele z tych artykułów, celując wybora językiem, jasnością myśli i dobierając przedmioty użyteczne dla powszechności. Ważniejsze z jego rozpraw pomieszczonych w dzienniku są: *o kranoskopii Galla*; *o żółtej gorączce*, napisana aby uspokoić obawy publiczności niepo-

kojonej wieściami szerzonymi przez gazety o grasowaniu i okropnych skutkach tej choroby; *o przypadkach pozornej śmierci i sposobach przywracania tak obumarłych osób do życia*; *o ogniu wszczynającym się w ciałach żyjących i o ich pogorzeniu* (w skutek użycia gorących napojów). Obie rozprawy niezmiernie ważne, zwrócone do uleczenia wad krajowych, były powszechnie czytane; ale najwięcej zajęła i posiada wartość: *o fizycznym wychowaniu dzieci*, która przerobiona w lat kilkanaście i wydana w oddzielnej książce, jest dotąd wybora dziełem. Oparte na gruntownej nauce zastosowanej do miejscowych zwyczajów, klimatu i potrzeb naszych, winno się stać przewodnikiem dla matek. Niedawno wydał je w Krakowie p. Kaźmirz J. Turowski. Inne rozprawy ścisłej naukowe, jak: o rozpuszczeniu, o rozbiornie platyny, o metalu vesticum, znalezionym w surowej platynie i t. d., świadczyły o nieprzerwanym śledzeniu Śniadeckiego za postępem nauki i wytrwałych nad nią badaniami, które jeszcze podwoił, gdy według jego pomysłu urządzono w uniwersytecie obszerną i wspólną salę chemiczną. Owocem tych badań i rozmyślań naukowych Śniadeckiego było pomnikowe dzieło, nietylko w naszej, lecz i w powszechnej literaturze, *Teoria jestestw organicznych*, której 1szy tom wyszedł w Warszawie 1804 r., a drugi 1811; powtórne wydanie, *prawie bez żadnych zmian po latach trzydziestu*, zrobiono w Wilnie 1838 roku.

Już wyżej uczyniliśmy wzmiankę, że jeszcze będąc w Pawii, Śniadecki z uniesieniem przyjął teorię Browna o życiu, według której „całe życie polega na działaniu pobudek (stimulus) na pobudzalność (incitabilitas) jestestwa. Należy między obydwojma stosunek rodzi zdrowie, nadwężenie zaś tego stosunku sprowadza chorobę.“ Brownizm, jako wnoszący wiele oryginalnych i ważnych pomysłów w naukę fizjologii, był powszechnie przyjęty przez świat lekarski, i Śniadecki był jego zwolennikiem. Ale genialny umysł jego jeszcze w Edynburgu poznał niedostateczność teorii Browna i jak to właściwe zdolnościom twórczym, jeszcze wtedy rzucił ogólne, własne pomysły, które po dziesięciu latach samodzielnej pracy ogłosił jako nową teorię, stanowiącą epokę w fizjologii i medycynie.

Podług Śniadeckiego teorii jestestw organicznych, (*) życie jestestwa polega na ciągłej walce sił organicznych z wpływami zewnętrznymi; za pomocą swoich sił jestestwo pokonywa działające nań wpływy zewnętrzne, a materje obce w swe własne ciało przerabia, pozbywając się dawniejszych swych części przez ustawiczny rozrób (detritus), przedstawiający to, co nazywamy ekskrecją czyli wydzieleniem; zatem: „*jestestwa żyjące nieustannie odmieniają materję z której się składają*.“ Tę ich odmianę nazywa *odnową* (Tom 4 str. 190).

Ta odnowa i ten rozrób i dawniej do pewnego stopnia były znane, przypuszczano bowiem że się każde ciało co siedm lat odnawia; lecz nie były one uznane jako podstawa jedyna całego życia organicznego, jako czynnik niezbędny, dający się ująć w liczbę. Cała zaś teoria o życiu organicznym dziś jedynie na tej stoi podstawie. Już Śniadecki poznał że materje żywiące niejednakową posiadają wartość dla organizmu, i to co w ostatnich latach dopiero, po zwalczeniu teorii Liebiga, poznano, że materje najwięcej budową i chemiczno-organicznym ukształceniem swoim oddalone od ciała które je pożywa, cały szereg zmian przechodzą, aż do niego spodobnieją, i dopiero wtedy podpadają rozrobowi:—to Śniadecki już przed czterdziestu laty wypowiedział i podstawą swęj teorii uczynił.

Ten pogląd, który lekarze niemieccy *fenomenologiczno-genetycznym* nazywają, stanął w sprzeczności z dwoma innymi, powstałymi w Niemczech, jednym *czysto mechanicznym*, wypowiadającym iż „*sprawa życia polega na prawach znajdujących się również i w naturze*“, do którego i Humboldt mocno się zbliżał, i drugim, według którego pierwiastek życia miał być *czymś właściwym, lecz do ciał nieważkich podobnym* i z niemi porównać się dającym. Temu poglądowi do pewnego stopnia był przychylnym i Jan Müller, sławny fizyolog niemiecki, który pierwszy podniósł ważność i znaczenie dzieła Śniadeckiego.

Pomijając dawniejsze, nader pochlebne zdania o Śniadeckim, jak: Moryca, Filomafickiego i innych, przytoczymy tylko to, co o nim mówi Wunderlich, sławny praktyk i teoretyk niemiecki, w swojej historii medycyny. „Trzecia szkoła, powiada on, uważa życie jako ciągłe przetwarzanie i nieustanne przyswajanie. Jak w zarodku jedynym objawem życia jest przyswajanie

sobie tego co jest obce, tak i w późniejszych stosunkach życia wszystkie jego objawy dadzą się odnieść do przetwarzania i odnowy (Neugestaltung). Ten fenomenologiczno-genetyczny pogląd pierwszy podał Śniadecki. Pojmuje on życie w sposób zupełnie przeciwny od Browna; albowiem gdy ten bierze za podstawę życia głównie zewnętrzne pobudki (Reize), Śniadecki cały proces życia opiera na samodzielności żyjącej istoty i dowodzi iż życie polega nie na działaniu zewnętrznego świata na organizm, ale przeciwnie na nieustannem działaniu jestestw żyjących na ciała obce, na ciągłym ich zużywaniu i przyswajaniu, przyczem organizm i materja w nieustannym są przerobie. Jednak te myśli jeszcze nie dość dobitnie przedstawione są w szacownym dziele Śniadeckiego, i dlatego może ten pelen pomysłów autor nie znalazł tak powszechnego uznania na jakie zasługuje; wielu nawet całym go nie pojęło.“

Oto sąd obcego, który więcej mówi na korzyść Śniadeckiego, aniżeli byśmy sami powiedzieć mogli. Aby przedstawić całą wartość teorii jestestw organicznych, trzeba by wysnuwać wszystkie z niej następstwa i wykazywać stosunek do dzisiejszych pojęć o życiu organizmu, a to przechodzi zakres krótkiego życiorysu. Dość powiedzieć że wszystkie wyniki do jakich doszła obecnie fizjologia, są zgodne z głównymi zasadami teorii Śniadeckiego. Jego geniusz w tym jaśniejszym przedstawi się świetle, jeżeli weźmiem na uwagę, że do swęj teorii doszedł jedynie na drodze czystego lecz ścisłego rozumowania, chociaż na każdym kroku popierał je doświadczeniami. I w tym wielką ma zasługę Śniadecki, że się dał unieść w dziedzinę czystych hipotez, lecz obok tego umiał ocenić wielki pożytek doświadczenia dla każdej teorii.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Kilka lat temu, jak miasto nasze nader pilnie zajmowało się sztukami pięknymi, a mianowicie malarstwem było w modzie; mieliśmy naówczas aż dwie wystawy, to jest krajową i zagraniczną, i obydwie licznie zwidzanymi bywały. Dzienniki opiekowały się bardzo losami tej sztuki wyzwolonej, a gorącym życzeniem wszystkich ludzi światłych było naówczas, aby doszło do skutku upragnione towarzystwo zachęty sztuk pięknych.

Od roku już blisko mamy tę instytucję, a jednakże udział w niej członków nie jest tak rozpowszechniony, jakby to z ówczesnych objawów wnosić należało. Wprawdzie okoliczności musiały wyrzucić swój wpływ na ten niezbyt pomysły stan towarzystwa zachęty sztuk pięknych; wszelako możnaby i w tę stronę nieco uwagi zwrócić, bez szkody dla spraw ważniejszych, jakimi są: kwestya włościańska, podniesienie i przeobrażenie się oświaty i inne.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych zakupiło już kilkanaście obrazów, dla rozlosowania ich pomiędzy akcyonaryuszów, reszta zaś zakupioną będzie w początkach grudnia roku bieżącego; przygotowało nadto premium roczne, przedstawiające, jak wiadomo, kopię pięknego obrazu p. Simmlera: Zgon królowej Barbary. Że p. Walkiewicz, któremu powierzono wykonanie litografii, sumiennie wywiązał się z swego zadania, każdy przekonać się może, zwidzając wystawę, gdzie jak oryginał tak i kopia znajdują się; a choć ostatnia, pozbawiona ożywiającego kolorytu, niezupełne daje o pierwszym wyobrażeniu, to przecież cała duchowa część utworu została tu z wielką wiernością oddaną i każdemu co śluzne dzieło p. Simmlera raz tylko widział, żywo je przypomina.

Każdy z członków towarzystwa ma więc wielkie prerogatywy: najprzód może zwidzać wystawę przez cały rok bezpłatnie, żonaci mogą wprowadzać żony, następnie otrzymuje piękne premium, litografią, za jaką trzeba w sklepie parę dukatów zapłacić; nakoniec bierze udział w losowaniu rocznym dzieł sztuki zakupionych z funduszów towarzystwa. Wszystko to powinno zachęcać do robierania akcji, które placą się po złp. 33 gr. 10 i tyle przynoszą korzyści. Istniejące w Krakowie towarzystwo sztuk pięknych liczy z górą trzy tysiące członków; u nas ma ono zaledwie nieco więcej nad trzecią część tej liczby. Ponieważ wkrótce nastąpi losowanie obrazów i rozdanie premiiów, przeto należy pospieszyć się z wzięciem udziału w towarzystwie, gdyż niezadługo już może byłoby za późno.

Z przyczyny mającego nastąpić w początkach grudnia zakupna reszty obrazów do losowania, nadmieniamy tutaj, iż może korzystniej byłoby zamiast zakupywania małej liczby drogocennych obrazów, za-

(*) Ocenienie tego dzieła oparte jest na myślach udzielonych nam przez jednego z profesorów warszawskiej akademii medycznej. (Przyp. aut.)

kupić w tej drugiej party większą liczbę mniej kosztownych, a nabycia godnych prac. Tym sposobem zwiększonoby liczbę wygranych, a im więcej ich będzie, tym więcej członków przybędzie towarzystwu.

Niechaj mi kto prawi co tylko chce o potrzebie zachęcania sztuki, o wyższych celach pociągających publiczność do brania udziału w towarzystwie, ja zawsze twierdzić będę, że na powiększenie liczby członków nietylko wpływa zamiłowanie malarstwa i wolność zwidzania bezpłatnie wystawy, ani nawet premium, ile nadzieja wygranej. Ludzie są zawsze ludźmi i nadzwyczaj kochają się w niespodziankach losu.

Jawnym tego dowodem jest *loterya klasyczna*. Nie podnosi ona sztuki, nie wspiera artystów, nie rozdaje premii, i oprócz małego, stosunkowo do procentów i zysków, datku dla biednych, nic nie czyni dla dobra ludzkości; a przecież znajduje corocznie najmniej sto tysięcy członków *akcyonaryuszów*, którzy dziesięć razy na rok dobijają się o akcye, kosztujące ośm razy tyle co udział w towarzystwie sztuk pięknych, utrzymują ciężko zapracowanym groszem kilkaset rodzin kolektorów i za swe pieniądze rzadko się cieszą większą wygraną, a często cierpieniem i zawodem. Prawda że im wolno dziesięć razy na rok przypatrywać się po kilka godzin obrotowi kół fortuny, co ma także pewien urok a przyspiesza krążenie krwi; wszelako nie wiem czy warto wstęp ten tak drogo opłacać, kiedy za mniejsze pieniądze można mieć szlachetną przyjemność dla oka i duszy, zwidzając wystawę towarzystwa sztuk pięknych. Tu stawka każdemu graczowi co rok się zwraca i nie potrącają mu żadnych procentów przy odbieraniu wygranej. Osób więc które tłumaczą swą obojętność dla sztuki ojczyźniej zajęciem ważniejszymi okolicznościami, zapytamy: dlaczego najważniejsze w świecie wypadki nie przeszkadzają bynajmniej grać w loteryę klasyczną?

Wracając do wystawy (która, nawiasem mówiąc, mieści się teraz w nierównie dogodniejszym mieszkaniu i zapanowała w dawniej dziedzinie *Zmyoskich i Tabachich*), niepodobna niewspomnieć o kilku obrazach, które ją w ostatnich czasach z bogaciły.

Pięknym pomysłem i wykonaniem odznacza się obraz p. Matejki: „Tencyński oskarża Samuela Zborowskiego.“ Młody Krakowianin rysuje i maluje wybornie, grupuje efektywnie, a wykończeniem starannem niepospolicie się odznacza; wszelako pojąć nie możemy, dlaczego artysta tak oszczędny jest w płótnie. Już tę samą uwagę robiliśmy przy wspomnieniu pobieżnem o Bonie; podobnież i w terażniejszym obrazie figurom tak ciasno i duszno, że wyraźnie czuć brak powietrza.

P. Matejko wielką szkodę wyrządza swym pięknym utworom tą wieczną ciasnotą; czyżby sobie obrał ją jako cechę wyłączną swoich kompozycyj?

Z przyjemnością prawdziwą przyglądaliśmy się dwom pracom p. Gryglewskiego, również Krakowianina. Nadesłał on widoki: kościoła świętej Barbary w Krakowie i ratusza na Kaźmirzu. Już to smak i prawda odznacza każdą pracę artysty, traktowanie murów i oświetlenie wyborne, koloryt nawet zimniejszy pierwszego planu i szkicowe nakreślenie figurek, podnoszą efekt jaki sprawia widok budowli.

Dwa obrazeczki p. Kostrzewskiego, *Pożar i Powódź*, są mile i wdzięczne, jak wszystkie jego prace, gdy je starannie wykonywa. Ile razy artysta zechce, zawsze utwory jego mają wiele życia i koloryt wcale piękny.

Oto ważniejsze przybytki na wystawie w ostatnich czasach.

Ponieważ premium wkrótce ma być rozdane, a szkoda tak piękną rycinę trzymać w tece, ramki zaś u nas i szkła bajecznie są drogie, niezłoby było, gdyby który z panów wyrabiających ramy i handlujących szkłem podjął się po umiarkowanej cenie dostarczać gotowych ramek akcyonaryuszom. Obie strony niewątpliwieby na tém zyskały, zwłaszcza że to interes dość znaczny.

W tych czasach wyszło dziełko pana L. Rzeczniewskiego, nauczyciela historii w Łomży, p. n. *Dawna i terażniejsza Łomża*. Monografia ta, bardzo dokładna choć nie wyczerpująca, pod względem historycznym, opisowym i statystycznym mogłaby posłużyć dla kolegów szanownego autora za wzór i zachętę do naśladowania jego przykładu. Jesteśmy niezmiernie ubodzy w dokładne opisy miast naszych, mnóstwo zażytków starożytnych upada pod ciosami czasu, butwieją akta, niszczejają pomniki, jeden pożar może niepowetowaną szkodę wyrządzić, a my dokładnego opisu ziemi naszej nie mamy i wszystko zaginie w niepamięci, jeżeli teraz na wszystkich punktach kraju nie weźmiemy się do tej ważnej pracy.

Mieliśmy przed parą laty kilka premii wyznaczonych za najlepsze utwory dramatyczne. Komedyi i tragedyi nigdy nam nie zabraknie, a wolelibyśmy ażeby fundusze takie przeznaczać jako nagrody za najdokład-

niejsze monografie miast naszych, o które bardzo trudno, a więcej mają wartości dla nas, aniżeli najzabawniejsza, choćby pięcio-aktowa komedia.

Jeżeli organizacya oświecenia publicznego ulegnie zapowiadanej zmianie, otworzy się także na tej drodze obszerne pole dla pracy poważniejszej, to jest wypracowanie książek elementarnych dla młodzieży wszelkiego rodzaju szkół. Dziś jesteśmy w niebardzo ubodzy; nie mamy mianowicie żadnej porządnej historii powszechnej dla szkół; nie mamy nauki stylu polskiego (bo za taką dzieła doktora Rymarkiewicza *Nauka prozy* uważać nie można); nie mamy dzieła podręcznego do wykładu zasad literatury polskiej. Dziełko Lesława Łukaszewicza: *Rys piśmiennictwa polskiego*, pomimo ciągłych przerabiań i poprawek, nie jest na ten cel, dla swęj szczupłości, odpowiedni. Chyba jedna tylko historia literatury J. Bartoszewicza byłaby w tej mierze odpowiednią, gdyby szanowny autor, w spodziewanem drugim wydaniu tego dzieła, chciał cokolwiek ze swego ustąpić, i tym sposobem pogodzić krytyków i publiczność ze swą książką.

Otwiera się więc, jak powiadamy, obszerne pole do olbrzymiej pracy. Jeżeli u nas sił ku podolaniu jej za mało, to możnaby zaprosić do niej uczonych rodaków za granicami królestwa polskiego przebywających, ogłosić konkurs, premia i akcesy, tak jak to Czechi robią, a skutek będzie niezawodny.

Żądać poświęcenia czasu i pracy za darmo, niepodobna, bo każdy musi być wynagrodzonym za nie; zachęty zaś podobne mogą wydrzeć z ukrycia niejedno pióro ciche, skromne i pożyteczne, które dotąd nie miało dla siebie pola popisu, przy gonieniu publiczności czytającej za lekką strawą umysłową, a nie za korzyścią prawdziwą. A zyskaliby na tém nietylko uczniowie, ale i ci, którzy pomimo chęci do nauki, przy niedostateczności dotychczasowej instrukcyi, uczyli się niby czegoś, a w rzeczy samej nic lub bardzo mało co umieją.

Dawniej książki elementarne pisał ten, któremu kazano je napisać, wedle modły naprzód wskazanej, i dlatego to taki brak w tym zakresie piśmiennictwa naszego panuje. Za ogłoszeniem premii obudzi się ruch i życie, konkurencya zaś wywoła wielu współzapaśników, zwłaszcza gdy bez wyjątku wszyscy piszący po polsku, gdziekolwiek bądź mieszkają, do wzięcia udziału przypuszczeni będą.

Częstokroć w kronikach naszych powstawaliśmy na drożynę mieszkań, na nieużyte w właścicieli, którzy biorąc wysokie komorne, odmawiają lokatorom wszelkich reparacyj w mieszkaniach, i zwałając na ich kieszeń i głowę starania o wnętrze swych domów, o tém tylko myślą jak zażywać błogosławionego spokoju. Żeby nas jednak nie pomawiano o stronność i systematyczną nieprzyjaźń przeciwko posiadaczom domów, skwapliwie wyszukujemy także stron pięknych. Otóż donosimy naszym czytelnikom, iż jeden z panów właścicieli, dowiedziawszy się o chorobie, a skutkiem jej długiego trwania o nastąpniej ztąd nędzy jednego ze swych lokatorów, nietylko że mu kwartalne w summie złp. 180 darował, ale nadto złp. 100 tytułem niby pożyczki zaliczył, napominając aby się spokojnie leczyl, a o komorne i pożyczkę wcale się nie troszczył. Piękny to czyn zaiste, i jedynie bojaźń obrażenia delikatnego uczucia zacnego dawcy, nie dozwala nam wymienić nawet pierwszych głosek jego nazwiska; wszelako z radością podajemy tę wiadomość naszym czytelnikom. Sprawdzają się tu słowa śpiwaka Mohorta:

Choć to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, niezli są ludzie.

Drugim godnym wspomnienia faktem, którego tajemnicą osłonić niepodobna, bo w oczach wszystkich dokonany został, jest przeprowadzenie smolowcowego chodnika przez przechodni dziedziniec pałacu Kraszińskich, z Krakowskiego przedmieścia na ulicę Mazowiecką. Szanowny właściciel, dla wygody publicznej, rozrzucił nawet kazał budynek parterowy murowany, aby przejście było szerszem.

Kto z własnego natchnienia, bez żadnej podniety, jedynie dla dogodności współobywateli, wyklada kilkanaście tysięcy, temu należy się złożyć publicznie hołd uznania i szacunku.

Dwukrotnie już w *Gazecie Polskiej* (nr 254 i 268), raz z Suwałk a drugi z Miechowa, spotykaliśmy projekt uwiecznienia pamięci Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, utworzeniem funduszu żelaznego w summie 600,000 złp. ze *złotówkowych* składek. Nie przesądzamy czy fundusz w ten sposób zbierany dojdzie zamierzonej wysokości, lecz dziwi nas że szanowny korespondent z Suwałk wyznacza aż 5,000 złp. rocznie na wychowanie jednej pani. Sądzymy iż stypendya przeznaczone być powinny dla pań ubogich, bo rodzice zamożni mają za co

kształcić swe córki; do czegożby zaś posłużyło wychowanie kosztowne dziewczki zrodzonej w niedostatku lub mierności? Za 5,000 możnaby w każdej gubernii ukształcić 5 pańienek bardzo dostatecznie. Wszakże w Nowej Aleksandryi (Puławach) opłata roczna wynosiła od jednej pensyonarki 1,200 zł. pol., a uczono ich tam więcej niż potrzeba nawet dla dziewczęcia przeznaczonego na guwernantkę. Dłaczegóżby aż tak wielką summę przeznaczać rocznie, czy dlatego aby za młodu wielką z niej damę zrobić i całą przyszłość jej zwichnąć? Szkoła świętego Jana (pańien prezentek) w Krakowie bezpłatnie lecz skromnie kształci ubogie córki mieszczan krakowskich na guwernantki, a tutaj na wychowanie jednej przeznaczono aż 5,000 złp. rocznie!...

Innego celu bezpłatnego wychowania nie pojmujemy, jak tylko połączony z odwdzięceniem się ogółowi za nakładłożony. Rzucamy więc myśl, czyby nie było stosowniej kształcić z rzeczzonego funduszu w każdej gubernii, dla dziewcząt miejskich i wiejskich, po pięć nauczycielek, z których każda, po kilkoletniej nauce, przez całe życie w szkółce elementarnej oddawałaby społeczeństwu usługi godne imienia Hoffmanowej, której pamięć uczcić pragniemy.

Cieszymy się iż sprawa *Kodymek*, podniesiona przez nas, wchodzi w życie. Pan Gracyan Jaeger, budowniczy, zajął się ich budową, zastosował ją do naszego klimatu i odbywa próby w niemi, w obec zaproszonych osób, w mieszkaniu swém przy ulicy Wilczej nr 4710, jak doniósł o tém *Kuryer Warszawski* z d. 9 listopada Nr 265.

Wdzięczni jesteśmy p. Jaegrowi za jego zajęcie się rozpowszechnieniem pożytecznego wynalazku Dra Filipa Kodyma, (nie zaś p. *Kodymki*, jak podano w *Kuryerze*), i nadmieniamy w końcu, że opis *Kodymek* z 7 drzeworytami, znajdują ciekawi czytelnicy w wyszłym już *Kalendarzu popularno-naukowym ilustrowanym* J. Ungra, modele zaś dokładne sprzedaje po złp. 5 handel nasion p. Rodkiewicza przy ulicy Miodowej.

WYCIECZKA DO GDAŃSKA.

przez

Deotymę.

(Dalszy ciąg.)

Wielokrotnie, bo za każdym wyjściem z domu, przystawaliśmy przed budynkiem tak blisko z nami sąsiadującym, znałam więc dostatecznie jego szatę zwierchnią; teraz chcieliśmy poznać wnętrze, a szczególnie główną salę ratusza, której sława zdawna już nas dochodziła.

Po prawej stronie wejścia, na ścianie od ulicy, wiszą sztaby żelazne, służące za wzór do miar tu używanych. W sieni obszernej, podnoszącej się w kilka stopni, obwieszonych poczeriałami obrazami, skierowano nas na lewo, ku podwojom sali. Założę się iż pomimo ciekawości jaką jej rozgłos budzi, nikt nie wszedł do niej po raz pierwszy, nie postawszy z pół godziny w proggu... Zkąd ta dworacka pokora, zapyta urażony podróżnik? Oto przy wejściu do sali zatrzymają cię przesłiczne, przebiegłe ponętne, zachwycające jej pазie, które mają ci tyle do opowiedzenia, że wkrótce zapomnisz o ich pańi i o całym Gdańsku; temi paziami sali są odrzwia u jej podwoi, z drzewa rzeźbione, istna perła pracowitości i sztuki. Wszystko cośmy kiedy widzieli z wyrobów na drzewie jakimi Gdańsk słynął, owe szafy, owe kantory, owe olbrzymie bufety, co są pałaczkami godnymi aby w nich mieszkał bogaty król gnomów, lub tajemna królowa dryjad, wszystko nam się przedstawiło tu w wysoku swojej piękności. Dwie karyatydy tworzą niby dwie boczne kolumny tych odrzwi; jedna wyobraża starca, a raczej męża wspaniałego, z ramionami bohatera, z szatą fałdzistą jak u arcykapłana, z obliczem długobrodem, wielkookiem, pełnem potęgi ale i łagodności. Po drugiej stronie na stopach podlotnych unosi się postać dziewczica, pół królowa pół rusalka, z rękami wywiniętymi nad czołem, jak gdyby w nadpowietrznym tańcu, z kibicią fidaszowej Greczynki, z obliczem polskiej wieśniaczki. Przez czas niejaki namyślaliśmy się co mogą znaczyć ów mąż i dziewczica? Nigdzie żadnego wyjaśnienia: obie postacie otoczone są godłami żeglarskimi. Na ten widok zawołaliśmy wszyscy razem: „To Baltyk i Wisła, dwa bóstwa opiekuńcze Gdańska!“

Postacie te nie czynią przykrego wrażenia jakie zwykle widok karyatyd sprawia, bo nie są schylone, nie

znać w nich znużenia; owszem, czoło swobodnie odrzucają, i tylko na rękach unoszą łuk nade drzwiami zaokrąglony; ale bo też nie mają się czem zdźwigać. Łuk jest uwity z samych wiotkich kwiatów, strzępiastych paproci, długich traw wodnych, festonów pajęczych i tysiącznych wzorów, a wszystkie tak lekkie, iż lęka się aby pod mocniejszym odetchnieniem nie wionęły napowrót na pola i lasy.

Nakoniec otworzyliśmy owe podwoje; w pierwszej chwili zdziwiłam się miernymi rozmiarami sali, którąby raczej obszerną komnatą nazwać można; wkrótce przecież pojęłam że miejsce tak wypieczone nie może mieć majestatycznej wielkości. Ogrom przestronych murów nie dozwalałby oku pochwycić szczegóły, a tu wszystko na szczegółach stoi, tę salę wartoby pod szkłem trzymać; jestto cudne pudzanko, w którym miasto złożyło klejnoty swoich pojęć i przeczuć. To co nam się w odrzwiach miniaturowo przedstawiło, tu ujrzeliśmy we wspaniałej całości; znać że Gdańsk się wysilił aby ratusz swój ukoronować arcydzielami swego kunsztu, to jest rzeźbą na drzewie. Cała komnata obwieszona jest taką rzeźbą, gęstą jak las dziewiczy, fantazyjną jak baśń ludowa; kolor jej ciemno dębowy, z ognistymi na wypukłościach polyskami, zagrażał piętnem smutku; ale i temu zaradzono, powtykawszy pomiędzy rzeźby malowania pełne jaskrawości i wdzięku, które tam błyszczą jak medaliony z emalii na hebanowych staroświeckich szkatułkach.

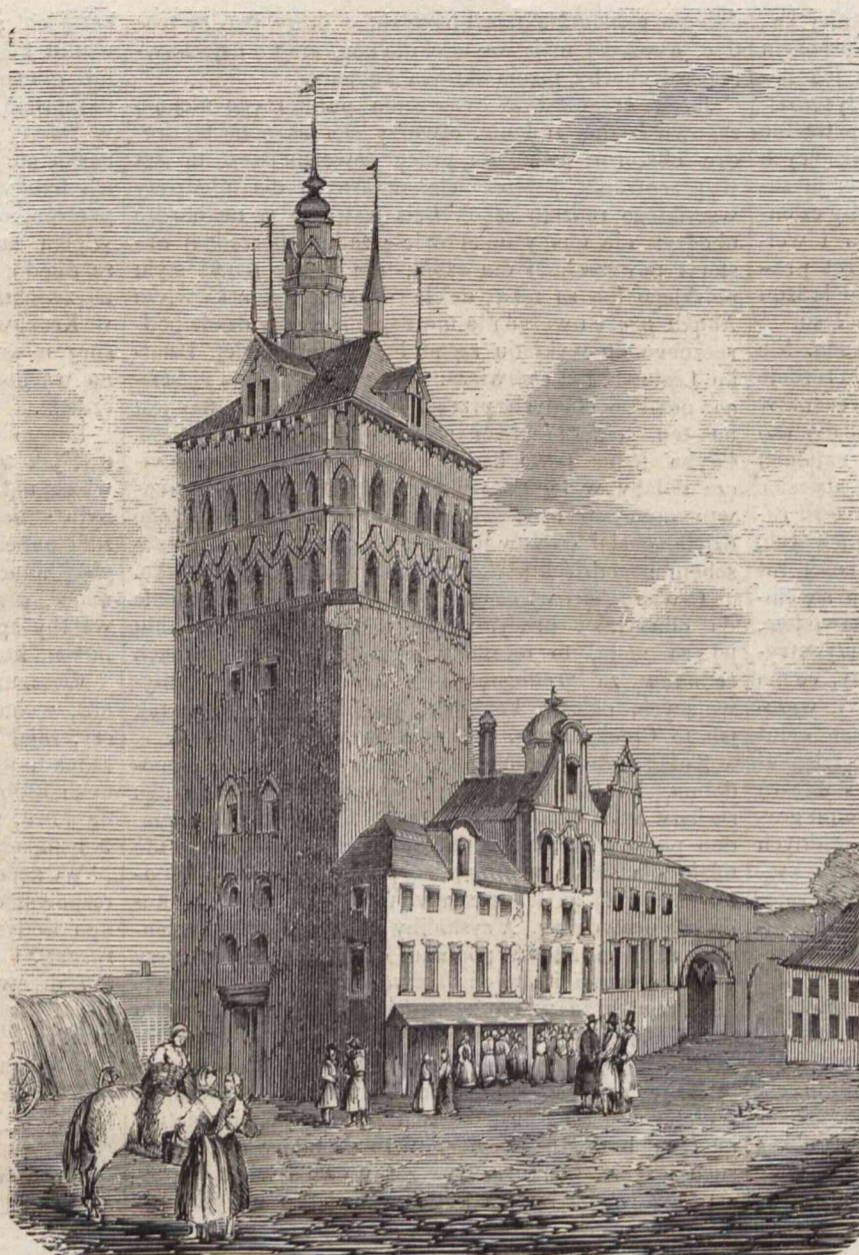
I tak: naprzeciw drzwi wejściowych, otwiera się potężny komin, pomnik snycerskiej biegłości. Nie wiem czy kiedy bóstwo ognia miało nadobniejszą świątynię; po dwóch stronach komina spadają dwa strumienie wycinanych pieścideł, a nad kominem, to prawdziwa kaskada rzeźb, niby różczką zatrzymana w gwałtownym spadku, aby nie zagasiła ogniska pod nią gorejącego. Długie palmy, kręcone słupki, zaczajone ptastwo, skrzydła geniuszków tulących się pod liście, gwiazdy i kule, wienice i pierścienie, wszystko zdaje się lecieć jedną falą; fala to ciemna, jak ciemna kaskada życia, wszelkie kształty w jeden odmet chłonna.

Już to w ogóle Gdańsk zachował do dziś dnia dziwnie żywe ślady panowania dawnego; na każdej miejskiej bramie, na każdej głównej budowli, nawet wśród rzeźb tego komina, dawny herb napotykasz.

Na suficie ratuszowej sali rozwija się wielki allegoryczny obraz; długo łamaliśmy sobie głowy nad jego znaczeniem; w końcu z napisów misternie powsuwanych i z całej wymowy symbolizmu odgadliśmy, iż malowanie to ma przedstawiać: „Szczęście rzeczypospolitej.“

Nigdybyście nie przeczuli w jakich kształtach pędzel tę myśl uwiłomił.

Na środku obrazu piętrzy się gmach czarowny, tak silny a lekki, jak sobie wyobrażamy zaklęty pałac Armidy; za pałacem rozciąga się ogród, w dziwnym prawda smaku, bo w najszluczniejsze szpalery wycięty, ale widać że w czasach w których żył malarz ogród taki był ideałem piękna dla lubowników roślinności. Zresztą jest on tyle ponętny, iż widz chciałby się zagłębić pod szmaragdowe tych szpalerów sklepienia. Zdaje się że ów pałac ma przedstawiać jedność, potęgę i wspaniałość rządu, a ogród wyobraża nadobny ład i harmonię jakie powinny w społeczeństwie pano-



WIEŻA WIĘZIENNA W GDAŃSU. (Rysował z litografii Polkowski).

wać. Pięknie tu pędzel wyraził, iż naród rośnie w koło prawa, jak żywy ogród w koło warownego zamku; ogród daje mieszkańcom zamczyska swój cień, swoje wonie i swoje pieśni; a z zamku wychodzą ogrodnicy, cieniście gaje pielęgnują, wonne grzędy podlewają i śpiewnym ptakom sypią ziarno. Po bokach, godła obfitości, bóstwa tryumfu i powodzenia, dopełniają serdecznej utopii

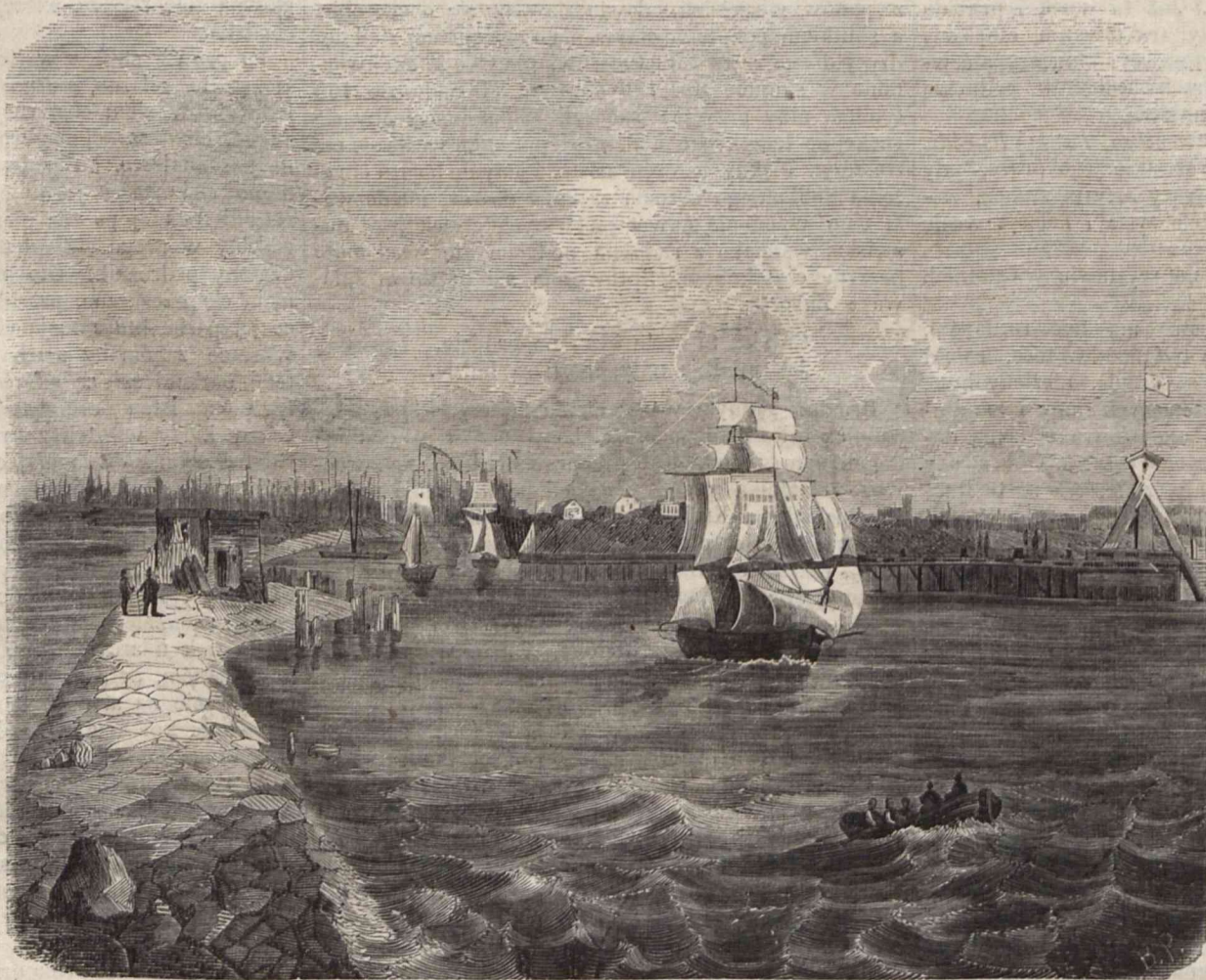
dawnych mieszczan.

Owe drzwi psotliwe, prowadzą do drugiej mniejszej sali, w której się dotąd narady miejskie odbywają. I ta jest mile ozdobiona; szczególnież gzyms nas zastanowił; jestto szereg prześlicznych, po polsku przystrojonych główek, wychylających się z kwadratów rzeźbionego drzewa, jakby z tajemniczych okienek. Zdają się one uważnie podsłuchiwać, czy burmistrz i jego towarzysze podług sumienia mówią, i nieraz pewno niejeden z tych mówców, podniósłszy oczy, szukał rady w życzliwym wzroku owych niemych słuchaczy.

Znajdziesz tam wszelkie stopnie skali towarzyskiej: jest wojak ognistooki i sędzia znudzony, dziewczę błyszczące w uśmiechu wiewiórczymi zębami, kupiec zawieszony, niewiasta zakwefiona, zaczepny treniś i pielgrzym opowiadacz; to różniane społeczny, na którym możesz odmawiać koronkę przeszłości.

Po obejrzeniu ratusza, jeszcze nam z godzinka dnia białego pozostawała; korzystaliśmy z niej, aby poszukać podarków na gościniec.

Jestto jedna z chwil dziwnie miłych, owa chwila ochłonięcia z uścisków i wykrzyknień powitalnych, gdy nakoniec otwierają się najgłębsze skrytki skrzyń podróżnych, a z nich występują upominki dla domowników i przyjaciół. Ale



PORT GDAŃSKI. (Rysował z litografii Podbielski).

malarza. Ale wszystko dotąd jest tylko tłem obrazu; dopiero na dziedzińcu przedpałacowym skupia się działanie; tam przy skocznych skrzypkach, przy szumie beczek tryskających rumianem piwem, w najsutniejszych strojach i najróżniejszych postawach, na łąnce zaokrąglonej w ogromny trawnik, tańczy chłopskie wesele; ale też to wesele jakiego nikt jeszcze nie widział! Każda część kraju przysłała tu deputacyę ze swoich wieśniaków i wieśniaczek, i w tym tłumie możesz przejrzeć całą galerię naszych ludowych ubiorów.

Czy uważacie? Podstawę obrazu tworzy to, iż między kmieciami jest wesele! Czyż pędzel pod tym kształtem nie powiada wyraźnie: „Dopiero wtedy osiągniecie szczęście, gdy je oprzecie na uszczęśliwieniu ludu?“

Chcielibyście poznać rysy artysty? Oto stoi, tu blisko... w téjże samej komnacie. Przy drzwiach wchodowych artysta odmalował otwarte okno, a w oknie samego siebie, ciekawie wchylającego się do sali; piękna, szlachetna jego głowa zadziwiającym podobieństwem przypomina mi wizerunki Byrona; widać jak malarz ukochał salę ozdobioną dziełami swego pędzla, kiedy chciał na zawsze w niej się uprzytomnić i być świadkiem wrażenia jakie dzieła te na wędrowcach sprawiają.

Nieco dalej spostrzegasz inny figiel pędzla: w jednej z bocznych ścian znajdują się drzwi niewielkie; drzwi te są prawdziwe, ale na nich odmalowano drugie fałszywe, z optyką tak złudną dla oka, że chociaż drzwi są szczelnie zamknięte, zawsze się zdają nieco odchyłone. Z po za tych drzwi, połową postaci wysunięty, wygląda malowany na ścianie odzwiercy, z tradycyjną białą brodą; w jednym ręku niesie pęk kluczy, drugą ręką z lekka grozi, jakby chciał powiedzieć: „Nie sztukaj tak głośno!“

Podobne to wybryki pustoty artystycznej, niezatrute żadną złośliwością, najwierniej nam malują na wpół rzemieślniczą, poczciwie poetyczną wesołość staro-

upominki te mają o tyle tylko pamiątkową wartość, o ile noszą cechę miejsca z którego pochodzą; muszą w swojej postaci mieć zarazem swój rodowód. To też z Gdańska postanowiliśmy przywieźć same bursztynowe pamiątki.

W tym celu wskazano nam bogatego kupca, którego dom możnaby nazwać *domem bursztynów*, bo od ziemi do poddasza nasypany jest niemi, jak czarka po brzegi nasypana złotym piaskiem.

Pierwszy raz mi się zdarzyło oglądać takie stosy podmorskiego skarbu, który zwykle tylko w oszczędnych próbkach napotykamy, i przekonałam się ile zyskuje w ten sposób widziany. Klejnoty pierwszorzędne, brylant, perła, mogą stać samotnie; klejnoty drugiego choru muszą występować albo w wielkich rozmiarach, albo w wielkich ilościach. Geniusz najlepiej działa kiedy działa sam; talenta najwięcej mają mocy gdy się stowarzyszą.

Przy téjże sposobności mogłam się rozpatrzeć w wewnętrznym urządzeniu domów gdańskich. Wstąpiwszy na taras kamienicy, zadzwoniłszy do drzwi ciężkich, migotających zielonością spiżu. Po kilku odezwaniach się dzwonka, słyszymy szelest lekkich nóżek: rygle odsunięto, i drzwi

zaczęły się na zawiasach, szerząc hukliwe echo w sieni, do której weszliśmy z niezbyt miłym wrażeniem, bo chłód kłębami wiał od niej. Sień była wielka, wysoko sklepiona, kamienną mozaiką wyłożona, ale prawie ciemna; jedno tylko oświecało ją okienko, wązkie, kolorową szybą w górze zakończone; w głębi, na tle rozigranej pomroki, zwieszały się ciemne wschody, których poręcz z dębu wycinana rysowała się spiralnie, jakby rozprężony zwitek pogańskiego naramiennika. Ale najwięcej mię zastanowiła postać wpuszczającej nas klucznicy: była to dziewczyna o wciętej kibici, blondynka bardzo ładna, a jeszcze bardziej zajmująca wyrazem niewinnych i jakby zadziwionych rysów; jej szyja i ręce były owinięte sznurami bursztynów tak wyborowych i pięknie obrobionych, iż żadna wielka pani równych nie posiada. Ale też to był jedyny przepych jej stroju; krótka sukienka z perkaliku złotawego i włosy które nieco na rude kroily, wszystko zdawało się w niej dobrane do barwy tych bursztynów; a kiedy drzwi trzymając stanęła w promieniu zachodzącego słońca, który przez próg otwarty padał w głąb

istotnie jest sklep z bursztynami i gdzie się mamy kierować, nie nie odpowiedziała, tylko zaryglowawszy napowrót drzwi wejściowe, inne drzwi po lewej stronie odemknęła, i stłumionym ale bardzo słodkim głosem zawołała: „Ojczel!“ i gdzieś znikła w ciemnych głębiach sieni, aż po chwili ujrzałam ją wysoko na

napatrzyć się przedmiotom tam rozłożonym; było ich niewiele; przy ścianach malowanych na ciemny karmazyn, żadnej szafy, żadnej pułki; tylko przez środek pokoju biegł wązki kantor, gdzie pod szkłem leżało kilkanaście bursztynowych kosztowności, jak: spinki w kształtach greckich i pompejańskich, pieczątki o lapidarnych napisach, cudny kałamarz z jednej sztuki, pióra do pisania w kształcie wiosel, noże do przecinania kart, bogaciej wyrzynane niżeli szabla Salady, jak mówiłam, kilkanaście przedmiotów, ale takich, że zapomniawszy dyplomacyi handlarskiej, podług której kupujący nigdy nie powinien chwalić towaru, zawołaliśmy głośno: „Co za przepyszne bursztyny!“ Na ten wykrzyknik kupiec odwrócił się ku nam, ale już nie do poznania, wydał nam się uosobieniem uśmiechu. Niedługo zdarzyło się iż wśród rozmowy, chwając ile tam ślicznych rzeczy, dodaliśmy: „najsłodszy jednak ta panienka co nam otwierała.“ Wtedy osmutniały starzec rozpromienił się jeszcze jaśniej, powstał, zbliżył się do kantoru i zaczął nam z niewyczerpaną rozmownością tłumaczyć własności, zalety i wady bursztynów; o wszystkim mówił jak prawdziwy znawca, tylko co do początkowego pochodzenia bursztynu,

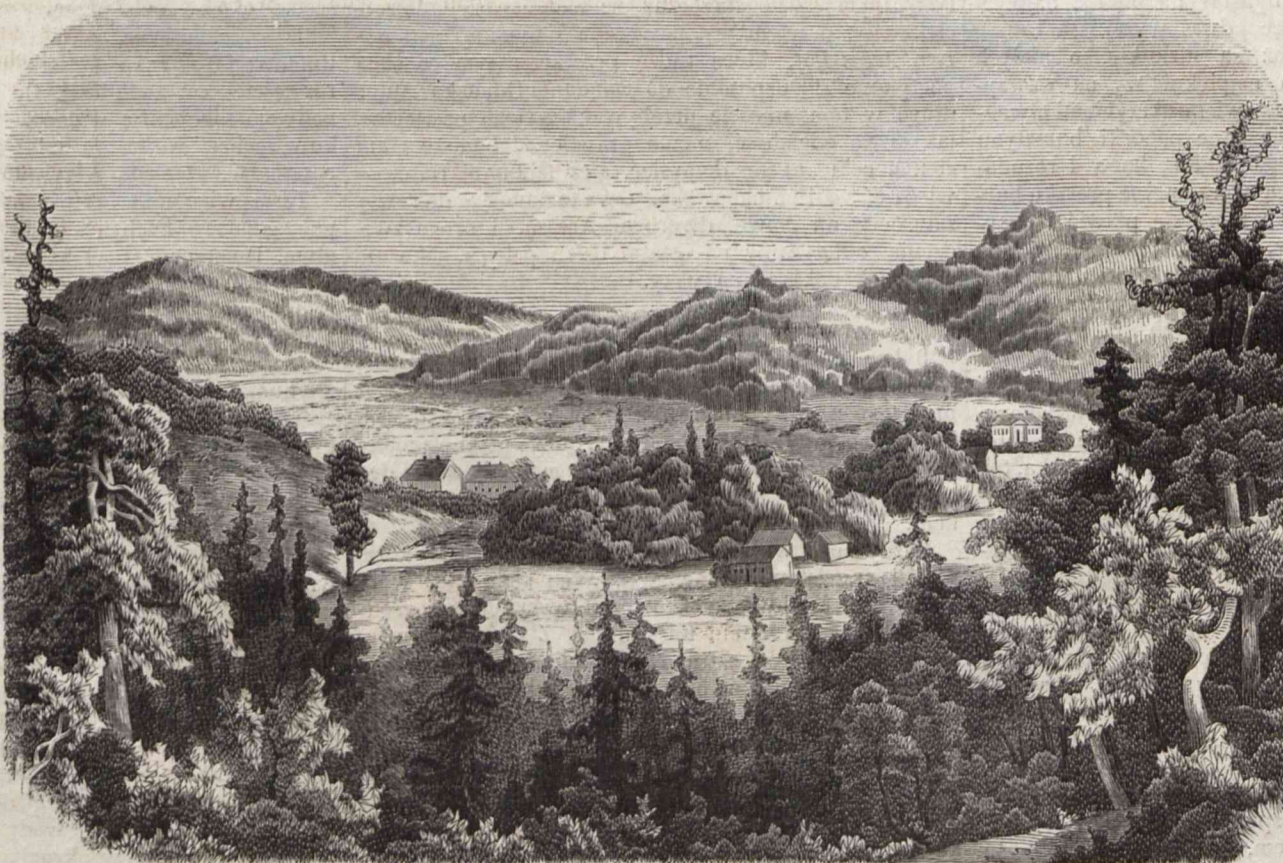
miał pojęcie oparte na znaniej legendzie, twierdzącej że bursztyn jest to żywica z drzewa *wiedzy dobrego i złego*. Ale dla naszego czciociela bursztynów nie była to legenda, był to pewnik, i gdyśmy się na jego wyrazy uśmiechnęli, urwał o tym przedmiocie rozmowę, jak człowiek który nie usiłuje nawracać, ale też nie chce być rozczarowany.

Jednak po wrażeniach przyjemnych, nastąpiło mniej przyjemne, gdyśmy się dowiedzieli o wysokich cenach tych klejnotów, cenach których stosunku nie mogłam od razu pochwycić, bo na przykład mała pieczątką, kosztowała dwa razy więcej niż spory, rzeźbiony lichtarzyk. Dopiero dowiedziałam się że wartość bursztynu nie zależy tyle od jego rozmiarów, ile od białości; najmniejszy odcień więcej na tej skali koloru, stanowi ogromną różnicę w cenie, i trzeba przyznać że niektóre (wprawdzie najdrobniejsze sprzęty), utraciwszy ostatnie polyski żółtości, wyglądały jakby mlékem nalane. Nie te jednak mię nęciły; piękne ale potworne, nie miały wybitnej cechy: jeszcze nie kryształ, już nie bursztyn.

Nabyliśmy kilka przedmiocików, oświadczając że więcejbyśmy jeszcze wzięli, gdyby miał mniej kosztowne. „Mam ja,“ rzekł kupiec, „wiele tańszych, ale wysoko, aż na drugim piętrze; jeżeli tam zechcecie wejść, będziecie mieli w czém wybrać.“ Kamienną sienią udaliśmy się na owe schody o misternej poręczy, i wtedy się przekonałam iż każde



SOBOTY POD GDAŃSKIEM. (Rysował z litografii Podbielski.)



DOLINA RADOŚCI POD GDAŃSKIEM. (Rysował z litografii Podbielski.)

w swjej pracy, przy stole okrytym ostremi narzędziami, siedział kupiec, właściciel domu, ojciec nadobnej klucznicy. Był to człowiek już niemłody, z wyrazem dobrotliwym ale osmutniałym w szczupłych rysach; powitał nas tylko skinieniem głowy i na nowo zajął się robotą. Przy jego milczeniu, mogliśmy do woli

piętro gdańskiego domu składa się tylko z dwóch obszernych komnat, przedzielonych korytarzem przecinającym pięterko na przestrzal; i tak każda komnata, odosobniona jak cela, ma jedno, jedyne wyjście, i to na korytarz, w którego końcu są kręte schody.

Tylko na dole porządek jest nieco zmieniony; tam sieni zajmują miejsce i korytarza i jednej komnaty.

Przechodząc przez pierwsze piętro, zapytałam co się tam znajduje? „Tu, rzekł starszek, nic niema na sprzedaż; tu mieszkamy, ja po jednej stronie korytarza, moja córka po drugiej.“ Mówiąc otworzył nam swój pokój, obszerny, oświetlony trzema lukowemi oknami, pełen starożytnych sprzętów. Ma się rozumieć że wszelkie ozdoby, narzędzia piśmiennie, figurki, wisiała u świeczników, wszystko było z edeńskiej żywicy.

Ale ja jeszcze ciekawiej zajrzałam do drzwi przeciwnych, lekko odchylonych; za nimi rysował się pokój bieluchny jak ten, w którym Gretchen przadła; przy wejściu wisiała bursztynowa kropielniczka. W głębi, w gockiej framudze okna, córka kupca, jakieś słodkie ziółko wznosząc w rękę, wspinała się ku złocistej klatce, w której pałał najświetniejszy kanarek.

„Otóż jest,“ pomyślałam sobie, „już tylko złotego ptaszka brakowało bursztynowej dziewczynie, i ptaszek się znalazł.“

Schody z pierwszego piętra na drugie już są mniej ozdobne i węższe; na drugim obie komnaty niższe, ale ciekawe. W jednej są same cybuszki do cygar, w drugiej do fajek, a to w takiej ilości, że nie na dziesiątki, nie na setki, ale na tysiące się liczą; pułki w około ścian, kosze i koszyczki są niemi napełnione; nawet po stołach taczają się ich stosy. Niektóre cybuchy były prawdziwie olbrzymie; wartość ich dochodziła dwóch tysięcy złotych polskich. Ciekawi byliśmy kto może takie kupować? „Sultan, a czasem wielki wazyr,“ odpowiedział kupiec.

Widząc uwagę i przyjemność z jaką badaliśmy jego towary, rozplywający się z chluby starzec mówił: „Mam ja jeden przedmiot od wszystkich ciekawszy, ale na piętrze jeszcze wyższym.“ Ucieszyłam się tym zaproszeniem, pragnąc poznać wszystkie warstwy osobliwszego domostwa. Schodki na trzecie piętro już zupełnie skromne i tak wąskie, że dwom osobom niepodobna się minąć, ale wszędzie schludnie, niby w szklance.

Jak zauważyłam, wróżka od bursztynów, choć tak łękliwa, nie przestawała być prawdziwą córką Ewy, to jest arcy-ciekawą; widać że zamknięte i samotne życie, (w całym domu prócz kupca i jego córki nikogo nie dostrzegłam) widać że takie życie czyniło dla niej przedmiotem ciekawości wszelką nową postać, bo na każdym piętrze, to u skrętu schodów, to w ciemnym kranicy korytarza, mignęła nam jej zaglądnąca postać; tu, choć byliśmy na piętrze najwyższym, pierzchła nam jeszcze gdzieś wyżej.

Te ostatnie komnaty już są niziutkie, o małych oknach, ale widok z nich najpiękniejszy na wzorzyste uploty ulic; obie są obstawione skrzyniami otwartymi, w których piętrzą się istne pagórki bursztynu surowego, pogatunkowanego podług barw i rozmiarów. Przy skrzyniach wiszą worki pełne proszku bursztynowego; tu dopiero oko może się pławić i nasycić podwodnemi bogactwami, tu może przebiegać cała gama półcieniów, od perłowej białawości, do żaru pomarańczy; im bryła żółtsza, tym przejrystsza. W niektórych widać kity żyłek czerwonych, jakby zakłete płomyki.

Gospodarz podszedł ku stariej, dziwnie malowanej szafce, i otworzywszy sztuczną grę zamków, wyjął ową obiecaną ciekawość. Był to starożytny podróżny futerał, z którego się wysuwały nóż, widelec i łyżka, tak wielkie jak te które dziś do sałaty używamy, wszystkie trzy z bursztynu. Piękność roboty i wielkość rozmiarów, czyniłyby ten antyk godnym aby go Benvenuto Cellini do biesiady używał.

Był tu inny jeszcze przedmiot budzący moje podziwienie: między pułkami wisiały szeregi bryl bursztynu, z lekka tylko dla blasku ociosanych, ale zresztą zachowujących kształty od natury nadane. Bryły te były nawleczone na sznury purpurowe, zawsze w takim porządku, iż największa wisiała w środku sznura, a inne biegły, coraz się zmniejszając, ku dwom końcom. Ich rozmiary nie do uwierzenia; niektóre środkowe dochodziły wielkości sporego ananasa. Nasyciwszy się naszym podziwieniem, gospodarz wyrzekł: „to są naszyjniki.“ Na takie tłumaczenie, wybuchliśmy szczerym śmiechem. Któżby chciał, któżby mógł przystroić się w podobnie kolosalny feston bezkształtnych ciężarów? Ale kupiec ciągnął dalej: „to jest mój główny dochód; czarni królikowie murzynów w Afryce i piękne ich małżonki kochają się przepaścić w takich naszyjnikach, i Gdańsk prowadzi niemi handel nieustanny.“

Jako dokończenie naszych badań zauważyliśmy iż dom był wykadzony bursztynem. Na to spostrzeżenie starzec rzekł z jakimś dziwnym uśmiechem: „O tak! Cały mój dom, to jedna niezrównana kadzielnica! Broń nas Boże od pożaru, ale gdyby miał nastąpić, dopierożby to był aromat, na całe miasto, aż do morza!“

Gdy obławowani nabytkiem, schodziliśmy ku ziemi, rozmyślałam nad niezwykłością pojęcia tu dostrzeżonego. Są ludzie którzy się zdają przez jakąś omyłkę natury rzuceni w epokę inną niż ta do której ich stworzono; ten kupiec powinien być żyć w średnich wiekach. W jego domu wszystko oddycha powietrzem innych stuleci, jego postać wygląda na wykopalisko; to też mu smutno wśród dzisiejszego pokolenia, i choć był jego zależy od napływu ludzi, w pół dziwak, w pół artysta, zamknął się przed ludźmi, prawie obwarował. W nowoczesnych sklepach nigdy niema dosyć drzwi otwartych, dosyć natrętnych zaprosia; tu musisz sklep wyszukiwać, dobijać się, a starcowi nie o to chodzi ile jego pracy zakupisz, tylko ile ją pochwalisz. Ale bo też natura szczerze mu wynagrodziła swoje omyłkę roskoszą dwóch namiętnych przywiązań, do obranego kunsztu i do nadobnej córki. Przejrawszy wszystkie jego skarby, przekonałam się iż jednak te były największe, najpiękniejsze, które odłożył na ustrojenie swojego dziecięcia.

Gdy starzec, pożegnawszy nas, podwoje zarygował, ze środka ulicy obejrzelismy się jeszcze na kamienniczkę; wtedy spostrzegłam wysoko ponad trzecim piętrem okienko w dachu okrągło wycięte; nie było w niem szyby, tylko rzeźba kamienna pierścieniem je obiegała. Z tej obrączki złota główka zabłysła, i sądząc się niewidzianą, śmiało z góry patrzyła; stanęliśmy i ukłonili się, ale wtedy główka cofnęła się, jak opał co wypada z pierścionka, i już jej odtąd nie widziałam.

Wracając ku domowi, ani się spostrzegłam jak wyobraźnia zaczęła dobudowywać całą powieść do tego obrazu, co był jej pierwszym rozdziałem. Miał się tam pojawić jakiś czarnooki marynarz, jakaś miłośnica wielka, wierna, godna średnich wieków, jakieś przeskody i rozpacz głuche a tym straszniejsze, nakoniec jakieś utopienie się w falach bałtyckiego morza.

Powieść została tylko w wyobraźni: dotąd jednak nieraz mi na myśl przychodzi, czy też w Gdańsku żyje, co też porabia kupiec bursztynów i jego blade dziecięce?

W domu, zasiadłszy do wieczerzy nieleniwie przez dzień zapracowanej, układaliśmy zamiary na dobę jutrzejszą, już ostatnią jaką mamy w Gdańsku spędzić. Cieszę się na nią, jutro bowiem obejrzymy gmach zwany *Dworcem Artusa*, najjaskrawszy podobno zabytek przeszłości w tym grodzie. Ileż słyszałam o nim opowiadał! A jednak wszystkie tak dziwaczne i w artystycznym sądzie sprzeczne, że tym bardziej mi rozciekawiały; przytęm jest powiastka Hoffmana, pod nazwą *Artus-Hof*, którą radzę przeczytać tym co chcą poetycznie się usposobić do oglądania Gdańska. Autor długo w tym mieście przebywał; w jego powiastce, jak łatwo odgadnąć, niema prawdopodobieństwa ani cienia, celu ani się domysleć, alez fantazyja! Dość powiedzieć że Hoffmanowska. Owa to fantazyja do reszty zawróciła mi głowę dworcem Artusa, którego zwidzenie odłożyliśmy na ostatni dzień pobytu, jako się przysmak odkłada na wety.

9 sierpnia.

Byłam w *Dworcem Artusa* i wracam z wyobraźnią jeszcze mocniej nastrojoną niż kiedy wychodziłam. Cóż mi z tego że zewsząd słyszę zdania, jakoby ów gmach był dziwotworem bez jednolitości, gdzie piękne z miernym plotą się w pstrocinę? Cóż z tego, kiedy oczy i dusza upierają się aby to wszystko znajdować roskoszną?

Każdy z nas widywał owe flamandzkie obrazki, gdzie pędzel przedstawił stół gładki, a na stole kosz w pół przewrócony, z którego chaotycznie wysypują się ogrodnicze plony; jakaż tam mieszanka! Z pośród monarszych lilij, z pośród satrapowych tulipanów, przegląda rumiana gospośka-piwonia; obok szklanych pęków korynckiego winogrodu, zieleni się chorowita, pomarszczona głowa ogórka; a pod motylem ulatującym pomiędzy kwiatami czolga się jakiś niezgrabny, w pół śmieszny robaczek. Otóż gdyby jaki przedstawiciel czystego estetycznego smaku przyszedł i wyrzucił z obrazka wszystko co przypomina gospodarstwo, byłoby więcej harmonii, ale czy więcej uroku?

Jeżeli jeszcze promień słońca padnie na obraz i wszystko stopi sojuszem światła, wtedy się czuje że w podobnie malowanym dramacie natury wszystkie role są ważne, czy je odegrzywa kwiat, czyli jarzyna.

Takim koszem obfitości jest *Dworec Artusa*; wielkie i małe, wzniosłe i poziome, w tłoczniem zmieszaniu wysypują się z niego, a przecież nie chciałbyś nie

ująć, bo mu do twarzy w tym karnawałowym stroju. A jeśli jeszcze otworzysz widnokrąg dziejów, wszystko tam się stopi w jedność, pod sojuszowym promieniem poezji.

Podróżnik, zanim pójdzie go zwidzać, pyta: „Czémże był Dworec Artusa?“ Była to *gospoda kupiecka*, miejsce schadzki i rozrywki. „Ale,“ pyta znów podróżnik, „zkażde się tu wzięł król Artus?“ O! ażeby to wylumaczyć, trzeba sięgnąć daleko, o wiele wieków, w najwewnętrzniejsze sprężyny historii.

Mityczna postać króla Artusa, z jego *okrągłym stołem*, jest wielką allegorią socjalnej przeszłości, świecąca jak przewodnia gwiazda wśród pomroki dawnych, dawnych lat; ale bo też dziwna była wklanina ówczesnego układu świata! Cóż tam szczebli w drabinie towarzyskiej! Samych osób koronnych całe rzesze! Od korony cesarskiej, przez królewską, książęcą, hrabiowską, baronowską, aż do szlacheckiej, wszyscy mieli prawo nosić korony, tylko że w odmiennym ich kształcie leżały bezdenne różnice; jeden ząbek mniej w koronie, nadawał względną niewolę.

Tymczasem idea postępową, z tkacką cierpliwością, nicią życia przesuwają się przez dzieje; i rzecz dziwna, gdzie zaczyna swoje burzące działanie? oto w owych uprzywilejowanych strefach. Słońce nowej zasady najpierw oświeca szczyt góry społecznej. I oto zeszło się kilkunastu koronnych i rzekli: „Prawda że jesteśmy szczerze obdzienieni, ale w tej szczerocie jest nierówność; odtąd niech będzie inaczej.“ I jako godło nowego dążenia, zbudowali sobie *stół okrągły*, aby w nim nie było miejsca niższego niż wyższego, i czy król, czy hrabia, przy tym stole byli równi. Ów objaw, co nam się dziś wydaje tak wyłącznym i ciasnym, wówczas był zuchwałstwem, utopią. I rozmiłowali się koronni nowatorowie w jutrzejkowej światłości, nie przewidując że owa dotąd spokojna światłość, coraz niżej zstępując, w coraz szersze koła się rozprężając, wybuchnie w płomień i lawę, aż podkopie szczyt na którym stoją. I oto nadchodzą wieki zwikłane dla dziejopisa, wieki długiej, mozolnej pracy, w której cała nowa w społeczeństwie warstwa rozbudza się do świadomości. *Średni stan* przebudził się łaknący; i on chce nowej skosztować zasady, a pragnąc wypowiedzieć swoje żądanie, szuka dla niego symbolu, znajduje gotowy w królewskiej legendzie i śmiało ją sobie przywłaszcza, tym samym przywłaszczeniem dowodząc, iż ma się za równego koronnym towarzyszom Artusa.

I znów stół okrągły stanął, tylko że pierścien jego rozszerzył się nie do poznania; wszyscy mieszczanie przy nim siedli, i sala brzmi znów, już nie od rycerskich pieśni, ale od rubasznych śmiechów, nie od muzyki kielichów, ale od brząkania kufłów.

Gwar tak wielki, że wszystko głuży; jednak niekiedy, w chwilach przerwy, słychać pod drzwiami jakieś westchnienia, jakieś szelest niby nadchodzących tłumów; jakaś ręka nieśmiała zaczyna się dobijać, coraz gęściej, coraz głośniej. Oj! zważajcie uczujący, aby podwoje nie pękły; widać że wielu jeszcze biesiadników zechce wejść do sali, i że stół trzeba będzie rozszerzać, aż siadą wszyscy.

Teraz więc nikt już nie będzie pytał dlaczego kupcy gdańscy kochali się w legendzie o stole okrągłym. Dworec Artusa był kamienną księgą, w której zapisywali swoje marzenia, sama jego nazwa wyrazem ideału, do jakiego zbliżali się pracowicie, walcząc z uporem o każdą piędź na polu godności człowieczeństwa.

Ale w Gdańsku powieść o Artusie, oprócz znaczenia humanitarne, miała drugie, miejscowe, była obrazem *hanzy*, w której miasta, choć nierównym bogactwem i wpływem koronne, zasiadły przy stole stowarzyszenia, przy którym wszystkie miejsca były równe. Tylko że tak jak król Artus, choć nie chciał się wywyższać nad towarzyszy, mimowolnie górował nad niemi aureolą osobistej zasługi, tak wśród grona waronnych braci Gdańsk zawsze górował. Dziwią się pisarze niemieccy, że w układzie *hanzy* nie mogą dostrzedz myśli czysto germańskiej; coż w tym dziwnego, kiedy jej początek słowiański, lechicki? Pierwszym jądrem jej był gród założony przez naszego Jazonowego Wyszymira, i odtąd, pomimo ustaw zazdrośnie strzegących równości, Gdańsk przez długie wieki zachował przewagę pierwotnej zasługi i całemu puharowi stowarzyszenia, gdzie splywały Odra, Elba i Wezera, nadał smak wody wisłańskiej. Gdańsk był królem Artusem przy okrągłym stole *hanzy*.

To też Gdańszczanie nigdy nie mogli dość się napięścić ze swoim allegorycznym gmachem; jeżeli się wysilali aby przyozdobić ratusz, miejsce gdzie się trudzili i różnili, z jakże większą miłością wysilili się na przyozdobienie miejsca, gdzie się bawili i godzili!

Dlatego też w ozdobach Artusowego dworu niema jedności; widać że nie wytrysły równym rzutem z pod wdzięcznego despotyzmu artysty, ale tworzyły się jak

chciały. Każdemu z członków wolno było dar swój tam umieścić; ztąd owo mnóstwo malowideł, posągów i przystrożeń, które same zdają się dziwić jakim sposobem tam się zeszyły?

Gmach Artusa, wielka, czworoboczna budowla, zawiera jedną tylko salę; główne wejście jest od strony placu. Tu fasada, w swojej barczystej wspaniałości, wydaje się nieco przytłoczoną, choć istotnie jest bardzo wyniosłą. Styl jej, nieodznaczony wyraźnie, waha się między gotyckim a włoskim; mur układany w olbrzymią kostkę kamienną, wyźlobia się trzema łukowymi oknami, tak potężnymi, iż sięgając równiej wysokości jak czwarte piętro okolicznych domów, dochodzą do korony gmachu. Tą koroną jest długa a wązka, śliczna facyata o siedmiu korynckich pół-filarach, między którymi świecą cztery smukłe okna i dwie nisze z posągami. Po bokach zakręcają się dwie ozdoby, niby skrzydła, przy skrzydłach wyskakują dwa obeliski, ponad całą facyatą biegnie przejrzysty ganek, a z po za niego dopiero wychyla się dach jeszcze unoszący posągi. Ciekawy jest wybór postaci w tym rzeźbiarskim natłoku: sądziłby kto że tu stoi Merkury, albo Vasco de Gama, albo Marko Polo. Otóż nie, pomiędzy trzema oknami, na czterech śmiało wysuniętych podstawach, w pełnej zbroi, w hełmach, z mieczem podniesionym, Scypio afrykański, Temistokles, Kamillus i Judasz Machabeusz panują nad Długim targiem z taką powagą, jakby to było forum; ale też prawda że jeszcze przed dwoma wiekami, w czasach religijnych zaburzeń, ów gdański targ słyszał godne Rzymian mowy, patrzył na Eschyloso-we tragedye. We dwóch niszach facyaty stoją Sprawiedliwość i Fortuna. Piękne połączenie; o gdybyż zawsze na świecie chciały chodzić razem! To jednoby zbratanie wystarczyło aby raj z ziemi uczynić. Posągi na dachu były jeszcze dla nas zagadką. Wyobrażają strzelców w postawie zwycięzkiego zachwycenia; dlaczego strzelców?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŹRÓDŁA NIEKTÓRYCH PRZESĄDÓW

DOTĄD U NAS ISTNIEJĄCYCH.

Jak się jeszcze dotychczas zasiedziały, szczególnie między plecią niewieścią, śmieszne i nieraz szkodliwe przesady, które nawet i w ukształconych kółkach rodzinnych napotykać się dają, posłużyć mogą za dowód poniżej umieszczone przytoczenia. Zostały one schwytane na gorącym uczynku, i dlatego zapisujemy je tu dla ośmieszenia w oczach tych właśnie, którzy wiarą w nie uwłaczając świętej wierze naszej, znaczenie im pewne jeszcze nadają, a wychowując dzieci wśród błędnych omamień, stawiają im niemałą przeszkodę ku zdrowemu na świat i ludzi pogłądowi. Część żyjących jeszcze dotąd przesądów ma swe źródło w bałwochwalczej wierze bezpośrednio; inne na tle jej osnute zostały, z zastosowaniem do późniejszych wyobrażeń.

Za czasów pogańskich lud na przezierające swém błogiem światłem chrześcijaństwo i slugi jego spoglądał z niewiarą i odrazą, i trudno się temu dziwić; ale dlaczegóż dziś jeszcze słyszymy nieraz że: *jak duchowmy, mianowicie mnich, przejdzie drogę, to nieszczęście wróży?* Radę na to podają, aby szpilką za nim rzucić, wtedy nieszczęście się odwróci. Jest to zabytek czysto pogański, bo i lud w Karpatach do dziś dnia diabła w postaci mnicha wyobraża sobie, a pochodzi to jeszcze z owęj odrazy, jaką niegdys każdy poga nin mieć musiał ku chrześcijańskiemu słudze bożemu. Inny przesąd mówi: *Na progu się nie witać, bo to jest źle.* Pochodzi to niezawodnie ztąd, że dawniej, szczególnie na Rusi, za pogaństwa, szcłatki ciał palonych nieboszczyków zakopywano w urnach pod progami chat; dlatego też progi u nas *świętymi* są nazywane, a powitanie gościa na samym progu musiało być wykroczeniem w pierwotnej wierze, dziś zaś bezmyślnie w ustach ludu się powtarza.

Inny przesąd ostrzega: *aby zawsze lewą nogą wstawać i tę najpierw ubierać, bo wstawszy prawą, będzie nieszczęście.* Wiadomo z historii, że król nasz Jagiello ten sam przesąd, zacerpnięty z pierwotnej swęj wiary bałwochwalczej, zachowywał skrupulatnie do ostatnich chwil życia swojego. Mówią: *Kiedy spotkasz w drodze karawan, to się cofnij lub rzuc szpilkę za nim, abyś odwrócił od siebie nieszczęście.* Zda się że i to także zdanie pierwszych chwil chrześcijaństwa u nas sięgać musi.

Dawni mędracy, dla uchronienia ciemnego ludu od złych następstw, wiele przykazań religijnością, a przynajmniej złem jakie z przekroczenia ich wynikać mia-

ło, popierać musieli. I tak na przykład, nie każdyby między ludem naszym uwierzył, iż kto się kąpie za wcześnie, ten na chorobę narażonym być może. Tymczasem gdy tę przestrożę w formę religijności wiano, iż: *kto się kąpie nim św. Jan wodę ochrzci, tego gad zjadliwy ukąsi,* wtedy bojaźń nacechowana świętością, na lud nasz pobożny zamierzony wpływ wywrzeć musiała.

Podobnie przesąd powiada: *Gdzie chleb do góry mąką przewracają, tam się gospodarstwo przewraca.* Za pierwotnej wiary składano u nas *bohenki* chleba na pastwę bogom (*bohom*), ztąd też święcie je szanowano i do dziś dnia część ta przechowała się w pocałowaniu chleba, gdy upadnie i podniesiony jest z ziemi. Gospodyni wiejska, napoczynając bohenek, krzyżem świętym naprzód go znaczy. Rzucąc gałki z chleba przy stole dla zabawki, uważano dawniej za występki. Że zaś od wieków u nas nie kładziono inaczej chleba świętego na stole, jak tylko spodem, więc kładzenie go naodwrot uważano jako nowatorstwo niepotrzebne i tchnące lekceważeniem, a za wykroczenie przeciw temu zwyczajowi zagrożano przewróceniem gospodarstwa. Poszanowanie chleba ma miejsce nietylko u naszego ludu, ale i u Izraelitów i wszystkich narodów, które pierwotne przechowywały obyczaj.

Śmieci nigdy wieczorem nie wyrzucać, bo się gospodarstwo wyrzuca, powtarzają również rzędne gospodynie, nie domyślając się może nieraz prawdziwej myśli w tym przesądzie, płynącej raz z tój uwagi, iż należy z rana, dla czystości i porządku, zamiatać mieszkanie, a potem, że ze śmieciami łatwo można wieczorem wyrzucić niepostrzeżenie rzecz jakąś, nieraz kosztowną.

Nie wracać się do domu po rzecz zapomnianą, bo wypadek będzie na drodze, mówi przesąd, choć i tu możnaby się dopatrzyć dobrej strony jego; bo kto będzie się bał aby wypadku nie miał, ten się zastanowi wychodząc, czy czegoś nie zapomniał, a przez to i czasu na wracanie się nie straci.

Jest i w tym przesądzie dobra rada: *aby się trzy świece na jednym stole nie paliły, ale nie dlatego, że będzie nieszczęście w tym domu,* tylko że zbytek podobny w świetle przynosi uszczerbek domowi, czego jednak łatwiej się strzegł lekkomyślny i krótkowidzący gospodarz, gdy pomyślał o nieszczęściu.

Mówią także: *jak się dziecko z ogniem bawi, to będzie z tego wypadek....* Dotykalsz to groźba, niż gdyby dziecko straszono zapaleniem się jego odzieży lub domu. Ogień równie był wysoko czczony, jak chleb, woda, powietrze, u naszych przedchrześcijańskich przodków; dlatego u ludu po dziś dzień za grzech poczytują, *deptać węgle rozżarzone, lub pluć na święty ogieniaszek.*

Jak prowadzą umarłego, nie jeść, bo żeby wylatywać będą. Przesąd ten wymyślony był zdaje się dlatego, aby patrzący na pogrzeb i ciało nieboszczyka, wielce do dziś dnia szanowane u nas, zachował się przystojnie i z przynależną powagą; a człowiek ciemny musiał tём ściślej wypełniać to przykazanie, gdy był zagrożony utratą zębów.

W poniedziałek nie puszczać się w drogę, nie przeprowadzać się, ani niczego ważniejszego nie rozpoczynać, bo ztąd wyniknie nieszczęście. Za nieco dawniejszych czasów, przesąd ten miał i niezłą stronę, gdy niedziele powszechnie na hulankach i picu spędzano, jak szczególnie za Sasów u nas. Nazajutrz, w poniedziałek, głowa ciężała, a niejedyn klin klinem wybijał; ztąd też lepiej już było siedzieć w domu lub rozspać się, niż coś ważniejszego na wypół pijanie rozpoczynać. Postrach więc nieszczęścia wykonać mającego w takim razie, był wtedy potrzebnym; lecz dziś, gdy lud nasz wypędzać zaczyna *blauer-Montag* za setną granicę, ztąd przyszedł, wiara w ten przesąd jest zdrożną. Nie radzą także i w piątek coś niezwykłego rozpoczynać, uważając go na równi z poniedziałkiem za dzień feralny. Wiara w dzień feralne nie istnieje wśród ludu wiejskiego: jest to wtęret obcy, jak i sam źródłosłów łaciński *feralis* (święteczny) wskazuje. Takie święteczne dni były u dawnych Rzymian obchodami uroczystymi, świętami bogów, nie więc w te dni nie robiono; następnie zaś bezduszny już i bezmyślny przesąd rozlał się po Europie, i nas nie omijał.

Podobnie mówią u nas: *w żaden dzień w który r wchodzi nie obcinać paznogi, bo żeby boleć będą.* Dnia mi temi są: wtorek, środa, czwartek. Trudno oznaczyć pochodzenie tego przesądu; być może iż z dniami jakimiś, u nas świętecznymi niegdys, ma styczność.

Poniżej przytoczone przesądne zdania należać mogą w części do epoki przedchrześcijańskiej, a częścią póź-

niej wymyślone i przypadkowemi zdarzeniami, niby w skutku ich wynikłemi, poparte zostały. Lud nasz dotąd pozbyć się nie może wiary w działanie sił nadprzyrodzonych, i dlatego rad w to wszystko wierzy, co z nich wypływać się zdaje. Zdradza to poniekąd i poetyczne usposobienie naszego ludu, który obcuje z naturą, wpływem jej na człowieka wielkie znaczenie nadaje; nie mogąc zaś wytłumaczyć sobie jasniej tego oddziaływania, w wydarzeniach niezwykłych klucz do odgadnięcia jego znajduje. Dla badaczy piękne to źródło, lecz dla ludu przesąd już niepotrzebny, bo dziś oświata prawdziwa skutecznie wyręczyć go powinna. Na okazanie czczości, a poniekąd i śmieśności wielu tych wróżb, dosyć jest przeczytać niektóre ze zdań następujących: Jak kura zapieje, to będzie nieszczęście w tym domu. Jeżeli się spotka kogoś z wiadrami pełnymi wody, to wróży szczęście, a przeciwnie coś złego spotka tego, kto ujrzy wiadra niepełne. Jak się na nice odzież wdzieje, to znak blizkiej pomysłności. Jak się sól wysypie na stole z solniczki, to będzie kłótnia w tym domu. Jak chleb upadnie, to głodny się spieszy. Gdy prawa dłoń swędzi, to zapowiada witanie kogoś; jak lewa, to pieniądze. Gdy prawe ucho pali kogoś, tego zdrowie piją. Gdy prawe oko swędzi, to zapowiada płacz, który odpędzić należy przeżegnaniem się; gdy lewe, śmiech i radość. Swędra na rękę gdy się pokaże, to wróży śmierć lub wielkie jakieś nieszczęście. Wyspane krosty na języku znaczą że ktoś obmawia. Gdy piszczy ogień na kominie, mówią że duszyczka tam cierpi męki czyścicowe i prosi o zdrowaśkę. Gdy paznogie kwitną, to białe plamki na pierwszym dużym palcu zrzą szczęście, na drugim nieszczęście, na trzecim fortunę, na czwartym zamęcie, na piątym śmierć na prawej ręce, na lewej drogę. Jak szyba lub szklanka pęknie na stole, to wróży śmierć w domu. Ani szpilki, ani igły, ani żadnej rzeczy która jest ostrą lub święconą, nie pożyczaj i nie dawaj nikomu, bo się przyjaźń przerwie; na to jest jednak rada, aby się w oczy roześmiać dającemu, lub go cokolwiek ukłuć rzeczą daną. Jak się dwóch ludzi zmówi na jeden wyraz, to kto najpierwszy przyjdzie, ten będzie fałszywym. Jeśli Żyd najpierw w poniedziałek rano przyjdzie, to będzie się cały tydzień dobrze działo w tym domu. Gdy śnieg pada w dzień ślubu, to wróży nowożeńcom szczęście, gdy dęszc, to nieszczęście. Jeśli gospodyni chce, żeby jej drób dobrze się chował i nie ginał, to trzeba z każdego skrzydełka obciąć końce piórek i zakopać w ziemię. Do pary nie siedzieć przy stole, bo ktoś umrze z rodziny gospodarza. Jak zając drogę przebieży, to nieszczęście, podobnie gdy kobieta stara przejdzie, a gdy młoda, to dobrze. Gdy się śni że ząb wyleciał, to ktoś z krewnych umrze; ogień we śnie wróży złodzieja, woda płacz, dziecko zmartwienie, ciasto plotki, śmierć zdrowie, kwiaty szczęście krótkotrwałe, jabłka guzy, groch lzy, bicie się z kim przyjazd. Gdy w prawém uchu dzwoni, to wróży złą nowinę, a wtedy trzeba się przeżegnać, gdy w lewém, to dobrą. Gdy się pajak spuszcza po pajęczynie przed południem, znaczy to pomyślność w domu, gdy po południu, zła wróżba. Kiedy pies wyje, to znak jakiejś blizkiej biedy. Ten ostatni przesąd pochodzi z wiary pierwotnej, szczególnie u Litwinów i na Rusi, gdzie pies za święte, wieszczę uważany był stworzenie.

W którym domu jest myrt lub rozmaryn, tam pan na z maż nie pójdzie. Nadmieniam się dla objaśnienia tego przesądu, iż w pierwotnej u nas wierze myrt był kwiatem bogini śmierci Marzanny, a prócz przeznaczenia ślubnego, używano go także na wianki do trumien. Myrt mógł zastępować i rozmaryn. Włosów nigdy na ziemię nie rzucać, bo będą wychodzić. To twierdzenie śmieszne, chyba tylko myślą o porządku można wytłumaczyć. Podobnie śmieszny jest przesąd: Jak się zrobi krostka na języku, to trzeba kluc szpilką kilka razy obrąbek od koszuli którą się ma na sobie, a z pewnością zginie. Jałmużny nie dawać lewą ręką i podobnie nie witać się lewą ręką. Powstało to ztąd, że prawa strona jest u nas w większym poszanowaniu niż lewa; prawą ręką zresztą jemy i żegnamy się. W wielki piątek w lustro się nie patrzeć, bo się źle pokaże, a kto w piątek skacze, to w niedzielę zapłacze. Ma to źródło w tём, że w wielki piątek, jako w dzień smutku, zapomnieć trzeba o zabawie. Jak się pies patrzy w oczy, to jedzący się nie naję, jeśli psu nie udzieli swęj strawy.

Jeśli gospodyni baby piecze, to włożywszy je w piec, nie powinna siadać, bo baby opadną. Oczywiście że ten przesąd powstał tylko na zachętę, aby pilnować dobrze piekącego się ciasta. W końcu dwa jeszcze są śmieszne, nieusprawiedliwione niczém przesady, mianowicie: jak gospodyni jajko rozbija, to lupiny trzeba zaraz potłuc na drobne kawalki, bo inaczej byłaby niezgoda w domu; i drugie: ząb wyrwany zawsze na

piec rzucić przez siebie. Tych i tym podobnych przesądów trzyma się, jak to wyżej nadmieniliśmy, wielu ludzi upornie.
J. Grajert.

NIEŻYN.

Lubo dzisiaj podrzędnego znaczenia, Nieżyn nie jest bez wspomnień i pewnej sławy historycznej. Sława

del przez to szeroko się rozwinął. W dzisiejszych czasach miasto zyskało powagę przez założenie w niem wyższego liceum.

Nieżyn (początkowo Nizien, od niskiego położenia) leży w ziemi czerniechowskiej, a zatem był jednym z najbardziej oddalonych punktów Rzeczypospolitej. Początek jego sięga głębokiej starożytności słowiańskiej. Nestor wspomina o nim pod r. 1078 pod nazwą Nieżatyna; zdaje się że w następstwie uległ panowaniu

kozaka Złotarenki, któremu hetman zaporozki Brzuchowiecki głowę ściąć rozkazał; nareszcie w r. 1668 srodze ucierpiał za to, iż stawiał opór wprowadzeniu nowo kreowanego zwierzchnika, i od tego czasu zszedł już do sfery zwyczajnego powiatowego miasta, aż założenie liceum nowego dodało mu blasku.

Nieżyn obfituje w cerkwie, których ma dziś 21, po większej części murowanych, pośród domostw drewnianych w ogóle, z wyłączeniem kilku znaczniejszych,



NIEŻYN. (Rysował Podbielski, z litografii Borela).

jego poczęła się mianowicie, odkąd zamieniony został na gród pułkowy kozacki, a jeszcze bardziej gdy Bohdan Chmielnicki obdarzył przywilejem wolnego handlu osiadłych w nim kupców greckich, których obrót

tatarskiemu, aż około r. 1320, w skutek podbojów dzielnych książąt litewskich, przyłączony został do Litwy. Od czasu organizacji Kozaczyzny, Nieżyn zaczyna być częściej wspomniany po różnych kronikach, jako jeden ze znaczniejszych grodów tej rycerskiej ludności, mianowicie zaś, gdy w r. 1514 hetman kozacki książę Eustachy Rożyński utworzył i w Nieżynie, jako pułkowym grodzie, osadził dwadzieścia pułków kozackich, wybranych z kurzeni i okolic. Bohdan Chmielnicki, za przykładem Rożyńskiego, dzieląc Ukrainę na pułki, ulokował także pułk i w Nieżynie, gdzie za świadectwem historyka Koniskiego, pod ówczesnym pułkownikiem Prokopem Szumienką, znajdowało się już 4,200 Kozaków rejestrowych, nie licząc innych mieszkańców miasta. Pod ten czas Nieżyn był porządnie ufortyfikowany i miał na swém czele magistrat, złożony z członków wybieralnych przez gminę, pod przewodnictwem wójta, którego mianowanie zależało od samego króla. Władza tego magistratu rozciągała się do wszystkich mieszkańców pod względem sądowym i finansowym, na zasadach prawa magdeburgskiego. Prawo to, które podówczas rządziła się większa część miast ukraińskich, stwierdzone jest jedynym pisanym zażytkiem urzędowym, jaki pozostał z owych czasów w aktach miejskich, to jest dyplomem Jana Kaźmirza, w którym zamieszczony jest również dyplom Zygmunta III, potwierdzony przez Władysława IV. W r. 1654, kiedy Chmielnicki oderwał od Polski całą Ukrainę, wtedy odpadł i Nieżyn, ale odbywały się w nim kilka jeszcze razy burzliwe i krwawe sceny, wywołane przez hetmanów niezadowolonych z postąpienia Chmielnickiego i stojących po stronie Rzeczypospolitej. I tak: w r. 1659 pod jego murami stoczył zaciętą walkę Wyhowski z wojskami kn. Romodanowskiego, i chwilowo zwycięzca, stracił następnie wszystkie korzyści przez podstępny napad Kozaka Ciecziury. W r. 1663 odbyła się w Nieżynie egzekucja pretendenta do buławy hetmańskiej

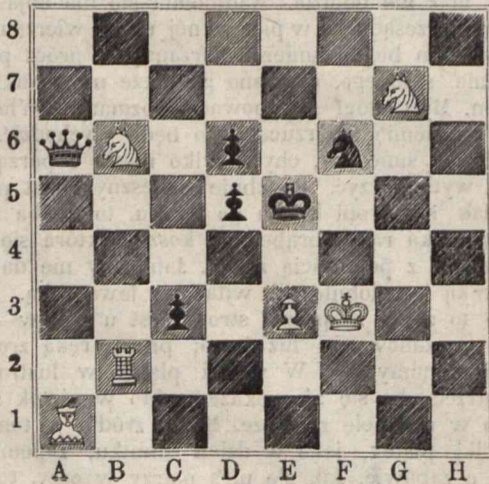
między którymi, rozumie się, najświetniejszym jest liceum. Szczyci się on oprócz tego urodzeniem Stefana Jaworskiego, patriarchy, któremu dawna akademia kijowska przyznała tytuł: poeta laureatus.

SZACHY.

ZADANIE LXXXVII.

(S. R. z Warszawy.)

Białe zaczynają i dają matę za czwartym posunięciem Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 86.

- 1) C3 — C5 † . . . Biją lub zasłaniają się laufrem.
- 2) A8 — A4 † . . . G4 — A4 biją.
- 3) F8 — G7 † . . . H5 — G7 biją.
- 4) F2 — F4 † i mat.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 111.

Z wszelkich cierpień co uderzają w człowieka, potwarz boli najwięcej.

REBUS.

